

ADAM
PODLEWSKI

Zakon Świętego Brutusa

Opowieść spiskowa
o dawnej Warszawie

ADAM
PODLEWSKI

Zakon Świętego Brutusa

Opowieść spiskowa
o dawnej Warszawie



PROLOG

PIEŚŃ OGNI A I LODU

Piekło może być ciepłe albo zimne – dla niego było gorące i mroźne naraz. Tortura mokrego, wysysającego siły chłodu przeszła w parzący ból. Był zamknięty w piwnicy budynku stajennego i przez długi czas nie widział, nie słyszał ani nie czuł, że twierdza płonie.

Gdy wreszcie podmuchy ciepła zaczęły lizać jego szyję, było zbyt późno na ucieczkę. Budynek gospodarczy, brzydki, jak cała twierdza Nowogłazow, był zrobiony głównie z drewna, niewprawnie ciętego i ciosanego przez zesłańców.

Schody płonęły, smród dymu dotarł już do kłitki w podziemiach. Nie chciał walczyć, nie miał po co żyć. Był skazanym na katorgę rewolucjonistą. W ciągu roku w więzieniu pozbył się chęci dorostnięcia do przypisywanej mu legendy. Pozbył się też chęci zemsty, w każdym razie: odwetu na nieświadomych swej winy żołdakach cara. Jeśli coś jeszcze tliło się w sercu więźnia, to nienawiść wobec braci, którzy go zdradzili.

„Ale oni siedzą teraz na warszawskich salonach, a ja upiekę się tutaj, nie mogąc choćby rzucić im klątwy w twarz” – złorzeczył im w myślach skazaniec, patrząc na dwudziestofuntową kulę u nogi. Z jego oczu spływały łzy bezsilnej złości na tych, którzy zostawili go samego.

I wtedy zdarzył się cud.

Ciężkie kowadło tak silnie naciskało na nadpalone belki podłogi nad nim, że w końcu je złamało i pomknęło w dół, do piwnic. A tam, jakimś złośliwym wyrokiem Boga, obojętnego na dotychczasową krzywdę nędzarza, nie zgmiotło mu głowy, ale tylko niegroźnie otarło się o ramię, po czym uderzyło wprost w obręcz na nodze i łańcuch. Pół cala dalej, a zmiażdżyłoby mu stopę, na dobre unieruchamiając w płonących podziemiach. A tak: uwolniło, dało drugą szansę na życie.

„Tylko po co?” – ocalony więzień zadał sobie to pytanie, a kapryśnie nastrojony Pan Nieba i Ziemi natychmiast udzielił odpowiedzi.

Kiedy usłyszał dziecięce łkanie, przestał myśleć i zaczął działać. Gdzieś nad nim, na parterze albo pierwszym piętrze stajen. Szybkim ruchem podarł okrywającą mu nogi derkę, obwiązał długimi pasami tkaniny dłonie, po czym wskoczył na stół. Sięgnął rękoma ku wyrwie w stropie i nie zastanawiając się, podciągnął.

W chwili gdy niemal wszyscy opuścili stajenną przybudówkę, ucieczka stawała się znacznie łatwiejsza. „Mógłbym ruszyć do głównych wrót, a potem uciec pośród poruszenia” – myślał, biegnąc w odwrotnym kierunku. Płacz dziecka, zapewne dziewczynki, słyszał z piętra nad sobą.

Dotarł do płonącej już ściany budynku administracji. Niczym Samson w przeklętej świątyni Dagona po prostu zburzył przeszkodę. Nadwątlone gorącym belki runęły po uderzeniu, a sam skazaniec znalazł się wewnątrz pawilonu głównego.

Gorąco ledwo pozwalało na zaczerpnięcie tchu. Poganiany już niemal niesłyszalnym płaczem dziecka, katorżnik wbiegł na płonące schody i w kilku susach przeskoczył na pierwsze piętro. Stopnie waliły się za nim, a ogniste piekło

lizało go czerwonymi językami. Kuchnię, salon, kancelarię, korytarze, a teraz i klatkę schodową wypełniał dym.

Na gorze ogień trawił już ścianę frontową. Przerazona, najwyżej ośmioletnia dziewczynka nie mogła zrobić ani kroku. Stała w progu gościnnego pokoju, opierając się na wpół otwartych drzwiach. Nie miała siły już krzyczeć i nie krzyczała, kiedy wynędniały skazaniec wziął ją na ręce.

Nie mógł skakać przez okno frontu. Płonący dach nad sienią postawił tam piekielną ścianę ognia. Z głębi pawilonu goniły ich płomienie, od strony koszar zagradzała im drogę murowana ściana. Można było iść na południe, choć trochę. Katorżnik wciągnął do płuc ostatnie hausty powietrza, po czym ruszył korytarzem przed siebie. Przeskoczył przez kurtynę ognia, rosnącego z podpalonego dywanu. Uderzył w kolejne drzwi i kolejny raz powalił je bez trudu. Dotychczas uśpiony umysł ziewnął i szepnął, że jeśli nie straci przytomności od gorąca i dymu, mogą przeżyć.

Ale wróg uderzył niespodziewanie i bezlitośnie. Nagle świat odpłynął, a jedyne, co skazaniec czuł, to żelazny uścisk na piersi. Wciągnięte do ust powietrze nie niosło życia, tylko senną śmierć. Właściwie nie sposób już było ocenić, dokąd biegną, czy biegną w ogóle, czy tylko umierają na płonących belkach podłogi. Ale Bóg kolejny raz uśmiechnął się złośliwie do dzieci marnotrawnych. Kolejną przeszkodą okazała się ściana południowego poddasza. Puściła.

Poczuł uderzenie upajającego powietrza. Potem objął go całun szarej substancji, w której dopiero po kilku uderzeniach serca poznał topniejący śnieg. Musieli upaść w zaspę przy południowym krańcu pawilonu.

Żyli.

Łuna pożaru przeistoczyła październikowy wieczór w dzień. Ku północnemu niebu strzelały białe i żółte

plóminie, a znad lodowego oceanu nadchodziły śniegowe chmury. Dziedziniec przed płonącym pawilonem był pełen ludzi, strażników, służby oraz więźniów. Wszyscy zaskoczeni, wymieszani tak, że można było pomylić żołnierza i katorżnika. Tym bardziej że niemal nikt się nie słyszał w morzu hałasu. Powietrze przesywały wołania żołnierzy, gwizdki oficerów, ale przede wszystkim jeden dźwięk: nie-ludzki ryk. Krzyczał człowiek, ale nie jak człowiek, ale jak szlachtowany wół. Czterech strażników trzymało komendanta twierdzy, generała Piotra Aleksandrowicza Marowa na ziemi.

– Generale, generale... – jęczał sierżant.

– Hrrrrr... – zdołał tylko wydyszeć skazaniec. To wystarczyło, aby zwrócić uwagę sierżanta.

– Panienko Kazańska... Elżunia!

Jak na zawołanie trzech żołnierzy i podoficer puścili generała, po czym rzucili się ku więźniowi oraz dziewczynce. Sierżant delikatnie wyciągnął skulone dziecko z ramion katorżnika. Nie wiedząc, co robić dalej, przytulił ją odruchowo, a tym samym sprowokował falę ciężkiego kaszlu.

– Żyje! Generale, Elżunia żyje! – krzyknął.

Komendant przycisnął córkę do piersi, ale słysząc jęk bólu, wypuścił natychmiast i bezradnie spojrzął po żołnierzach. Na szczęście doktor Jarenin był już na miejscu. Delikatnie przejął poparzone, ale przecież żywe dziecko. Zerwał z dziewczynki wciąż tłącą się chustę, po czym przykrył podanym mu przez strażników płaszczem.

– Szybko, przygotujcie izbę przy lazarecie – polecił dwóm sanitariuszom. – I niech ktoś przyniesie nosze, zwa-wo... Panie komendancie, będzie żyła.

– Będzie żyła! – krzyknął Marow władczym głosem, ale natychmiast potem wybuchnął płaczem.

Kłęczał w śniegu, ledwie tuzin kroków od skazańca. Sierżant i dwóch adiutantów nie śmiało się odezwać, nawet ruszyć. Za nimi, wokół i nad nimi szalał ogień. Stary porucznik Szwarz komenderował już akcją gaszenia stajni, ale tu, w pobliżu generała nikt nie odważył się wydać choćby najcichszego dźwięku. Względną ciszę przerwał dopiero kaszel skazańca.

– To... to ty! – zawołał generał, natychmiast zamieniając łkanie we władczy ton. – Buntownik z Polski, zamachowiec... Boże Przenajświętszy... tyś mi jedyne dziecko ocalił!

Wstał, i wciąż zgarbiony, podszedł do więźnia. Znów padł na kolana, tym razem tuż przy nim. Uścisnął go mocno, zrywając całe płaty nadpalonej koszuli, razem z kawałkami poparzonej skóry. Zwykły człowiek wrzasnąłby z bólu, ale nie on. Powinien był szczeznąć w płomieniach, wymieniając swe bezwartościowe życie za życie niewinnej dziewczynki.

– Ja, ja... – łkał generał, wciąż ściskając milczącego Polaka. – Cóżem ja uczynił!? Wybacz mi, bracie, wybacz! – Odwrócił się ku stojącym nieruchomo widzom. – Patrzcie, chrześcijanie! Oto święty! Jam go w kajdany zakuł, biczowałem, znieważałem, urągałem jego losowi. A on życie niemal oddał za moje dziecko. Co zgrzeszył w przeszłości, to zgrzeszył. Ale teraz jest nowym człowiekiem, lepszym niż my, szubrawcy. On jest czysty jak Chrystus Pan w Jordanie!

Doktor Jarenin posłał czterech sanitariuszy z noszami po poparzonego katorżnika. Ale młodzi stanęli z odległości tuzina kroków od Polaka, nie wiedząc, co czynić.

– Bracie! – krzyczał wciąż komendant. – Wybacz mi moje winy! Byłem jak ślepiec grzeszny i jak sam szatan pyszny! Jam cię krzywdził, a ty... – Odsunął się od wybawiciela,

a dopiero wtedy sanitariusze dostrzegli, jak poparzony jest Polak. – Na rany Chrystusa, wybacz mi moje winy!

– Ja... ja... – szepnął więzień. – Ja nie trzymam urazy...

– Wybaczyl! – krzyknął ze wszystkich sił Marow. – Słyszycie, bracia chrześcijanie? On mi wybaczyl! – Wstał, odwrócił się ku sierżantowi i reszcie widzów tej spowiedzi. Wciąż wskazywał klęczącego katorżnika. – Opuścił mi jak Chrystus prześladowcom. Oto więzień... oto święty. Jego dusza już nie na tym świecie siedzi.

A drżące ciało Polaka rzeczywiście zdawało się należeć już do trupa. Tylko oczy płonęły dziwnym blaskiem. Może odbijały się w nich płomienie pożaru, a może coś innego, nie z tego świata. Jednak cokolwiek wyzierało ze ślepi więźnia, nie było niebem.